EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 12 marca 1933 R. | NR. 11 (24)

Reportaż z Z. S. S. R.

Plastyka na poczcie

Współczesne Kassandry

Ubezpieczenia społeczne

Niepiśmienna inteligencja

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr. Najnowsze książki.

AUTORZY: WOLSKA. WITTLIN. WASOWSKI. KORNACKI. ŻYCIEŃSKI. RYGIER. BURDECKI. STROMENGER.

R

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

SKOSZAROWANIE BEZROBOCIA

„Jutro Pracy" (Nr. 9) zamieściło interesujące dane o pierwszych w Polsce kadrach „skoszarowanych robotników":

Na terenie woj. śląskiego zorganizowano dotychczas 3 takie ochotnicze drużyny robotnicze składające się z młodzieży, synów bezrobotnych obarczonych rodziną w wieku od 17 do 21, uznanych przez lekarzy miejscowej kasy chorych za zdolnych do pracy. Drużyny te składają się: jedna ze 130 ludzi, druga z 47 i trzecia z 80. Są one zatrudnione przy robotach ziemnych przy budowie linji kolejowej Rybnik-Żory, przy wydobywaniu żwiru z nad rzeki Olzy na budowę szos i przy wydobywaniu kamienia do tego samego celu.

Drużyny zorganizowane są na wzór półwojskowy przy Komitecie miejscowym, powiatowym Fuduszu Pomocy Bezrobotnym. Każda drużyna dzieli się na sekcje po 20 do 30 osób z kierownikiem na czele, który ma do pomocy szefa drużyny i sekcyjnych.

Każdy członek drużyny otrzymuje łóżko z wyprawą i menaszki, oraz w miarę potrzeby drelichowe ubranie, buty, sweter, rękawice i szal. Następnie otrzymuje on całodzienne utrzymanie i jedną złotówkę za każdy dzień przepracowany, przyczem co 10 dni wypłaca mu się połowę zarobku, drugą zaś połowę składa się na jego imię na książeczkę oszczędnościową, którą otrzymuje do ręki dopiero po rozwiązaniu drużyny. Sekcyjni, sanitarjusze i kanceliści otrzymują po 2 zł. dziennie i również połowę na książeczkę oszczędnościową.

Koszt dziennego utrzymania członka drużyny przy obliczeniu, iż roboty będą trwały w ciągu 6 miesięcy wynosi 2 zł. 58 gr. dziennie.

Zajęcia przy robotach budowlanych trwają 6 godzin dziennie, 6 godzin tygodniowo przeznaczone zostało na wychowanie fizyczne i 6 godzin na pracę oświatową. Przy drużynie prowadzi się kuchnię, jest tam apteczka i izba dla chorych, świetlica, w której znajdują się gazety, bibljoteka, radjo, wygłaszane są wykłady i pogadanki.

Przy przyjęciu do drużyny składana jest deklaracja z zobowiązaniem pozostawania w pracy przez 6 miesięcy. W razie wydalenia z drużyny lub odejścia, członek drużyny nie może otrzymać oszczędności, złożonych na jego rachunek na książeczkę oszczędnościową.

Na podstawie zdobytego już doświadczenia ustalono, że wydajność pracy członków tych drużyn wynosi ok. 90% wydajności pracy normalnego robotnika.

KOBIETY I FEMINIŚCI

Wymownym przejawem panującego w Niemczech chaosu doktryn, teoryj i programów, jest akcja prowadzona przez posłankę von Kardorff i barona von Reibnitz, a zmierzająca do utworzenia wielkiej politycznej partji... kobiecej. Program tej „gotującej się" partji bije rekord głupoty, zwyciężając po drodze nawet tak absurdalne hasła hitlerowców, jak samo pojęcie „narodowego socjalizmu", wyższość germańskiej rasy, walka o czystość tej rasy i t. p. Rozpolitykowane feministki niemieckie nie wahają się propagować t. zw. „naturalnego podziału społeczeństw" na dwie kasty.. płciowe, z których właśnie żeńska powinna mieć w idealnym Reichstagu absolutną większość, ponieważ ilościowo głosy wyborczyń przeważają głosy „męskie".

Zaznaczyć należy, iż program tej dwudziestej siódmej grupy politycznej w Niemczech przewiduje utworzene specyficznej sekcji „feministów", którym, jako zwolennikom haseł i metod programu obozu kobiet, wolno będzie wprawdzie głosować na kobiecą listę, jednak bez prawa zdobycia mandatu poselskiego z ramienia tej listy. Mogą na niej figurować jedynie kobiety i to tylko te, które wyrzekną się wszelkich więzów ideowych z partjami dawnego typu, tworzącemi „męski front".

REKLAMA

We Francji trudno jest teraz znaleźć literatowi, nie chadzającemu jeszcze w glorji sławy i sutych honorarjów, nakładcę na swoje utwory.

Dwaj młodzi a bogaci w fantazję i pomysłowość literaci postanowili przyjść z pomocą braci literackiej. By przezwyciężyć opór wydawców i publiczności zamierzają wydawać corok dwa nowe dzieła literackie, które były odrzucone już conajmniej przez trzech wydawców. Nowa książka będzie ozdobiona przepaską z napisem: — „Odrzucona przez tylu a tylu wydawców".

W dziedzinie teatralnej palmę pomysłowości reklamowej zdobył teatr w Cassel, który prowadzi rejestrację zgłaszających się po bilety do kasy. Gdy do kasy zgłasza się nabywca numer 3000, kasjerka wywołuje natychmiast pomocnika intendenta, który zbliża się do posiadacza 3000-cznego biletu i oznajmia, iż dyrekcja teatru ofiaruje mu na dzień jutrzejszy wycieczkę w aucie teatralnem w miłem towarzystwie jednej z gwiazd ensemble'u scenicznego.

Pomysł francuski stępi się wkrótce i przestanie działać pobudzająco na ciekawość czytelników, pomysł niemiecki przetrwa zapewne dłużej...

WE FRANCJI ROSNĄ KOSZTY WIELKIEJ WOJNY

W ostatnim numerze francuskiego czasopisma „*Médecin*", dr. Maymou zastanawia się dlaczego w ciągu 1932 roku skarb francuski wypłacił 7 i pół miljarda tytułem t. zw. pensyj wojennych, podczas gdy w 1927 roku na ten sam cel zużyto 4.448 miljonów franków. Zdaniem dr. Maymou, pośrednio wpływa na ten wzrost zobowiązań wojennych prawomocność ustawy z dn. 31 marca 1919, której paragraf drugi przyznaje „wojskowym dotkniętym po wojnie niemocą, powstałą wskutek nieszczęśliwych wypadków lub chorób jakich doznali w czasie wojny" prawo odbywania leczenia na koszt państwa, oraz pobierania pensyj inwalidzkich.

Dr. Maymou bynajmniej nie żąda zniesienia powyższej ustawy, podkreśla jednak znamienny fakt zwiększenia się pensyj w latach 1927—1932 o 300.000 pozycyj i nawołuje do sumiennej rewizji orzeczeń lekarskich, które w 9—14 lat po wojnie przyznały trzysta tysięcy nowych pensyj na podstawie prawa o t. zw. wojennem pochodzeniu choroby. Zdaniem dr. Maymou, może zdarzyć się istotnie, że badanie lekarskie wykaże, iż dawny oficer czy żołnierz, napo-

zór zdrów w ciągu kilku lat powojennych, zaniemoże poważnie właśnie wskutek jakowejś ukrytej choroby, której pierwsze początki datują się jeszcze z czasów wojny. Jednakże, pisze dr. Maymou, liczba takich chorych nie może wynosić 300.000. „Istnieją pensje, będące drwiną z uczciwości i które nakazują opinji publicznej dalekoidącą czujność."

FIKCJA CEN I „MUROWANA" FREKWENCJA

Duże wrażenie wywołało w Berlinie bankructwo wielkiego koncernu teatralnego braci Rotter, obejmującego dziewięć scen stołecznych, przeważnie rewjowo-operetkowych, wśród których kilka wyróżniało się zaszczytnie wysokim poziomem artystycznym. Bankructwo braci Rotter wywołało tem większe wrażenie, że teatry ich cieszyły się niezwykłą popularnością, a spektakle odbywały się przy stale wyprzedanej widowni. Dopiero w toku śledztwa wydało się, iż bracia Rotter byli również właścicielami przedsiębiorstwa sprzedaży biletów po cenach zniżonych, a zbadanie stanu ksiąg tego przedsiębiorstwa wykazało, że bilety sprzedawano za 50, a niekiedy za 25% nominalnej wartości. Zaledwie 10% ogółu publiczności teatrów braci Rotter kupiło w ciągu roku bilety po cenach normalnych. Pragnąc zwiększyć frekwencję, właściciele koncernu sprzedawali bilety ubocznie za każdą zaofiarowaną cenę, posługując się przytem tłumem agentów, którzy za pośrednictwem wszelkiego rodzaju związków, klubów i stowarzyszeń tworzyli cały system taniego kupna biletów.

Fikcja cen i „murowana" wskutek tego frekwencja nie uratowała koncernu braci Rotter, którzy pozostawiwszy po sobie całą moc niepopłaconych weksli, podatków, poborów pracowniczych i t. p. schronili się do Vaduz, stolicy księstwa Lichtenstein, którego obywatelstwo przyjęli przezornie zawczasu. Gościnny ten kraj nie zawierał nigdy z żadnem państwem umowy w sprawach wydania przestępcy, tak, że bracia Rotter, mogą żyć dalej bezpiecznie i pod opieką prawa z resztek fortuny, jakie zdołali uratować.

Zaznaczyć należy, iż prasa niemiecka sprzecznie komentuje bankructwo braci Rotter, — tak więc jedne dzienniki twierdzą, iż wielki koncern berliński upadł poprostu z przyczyn kryzysu gospodarczego, natomiast inne pisma dopatrują się bezpośrednich przyczyn krachu w „zniżkowej" polityce braci Rotter. Zdaniem tych pism fikcja cen demoralizuje publiczność, która kupując bilety pokątnie nigdy nie zechce płacić za nie normalnych cen w kasie teatru i długo jeszcze, nawet w wypadku cofnięcia wszelkich zniżek, szukać będzie sposobów nabycia biletu po niższej cenie, zanim zdecyduje się zapłacić zgodnie z oficjalnym cennikiem.

W WIEKU XX-TYM

W Sasowie, w powiecie złoczowskim, doszło w czasie pogrzebu dziecka członka sekty Badaczy Pisma św. do krwawej bójki.

W pogrzebie brało udział 35 członków sekty z Sasowa i wsi okolicznych. W chwili, gdy orszak znalazł się na rynku miasteczka, tłum złożony z około 300 osób zabrał siłą trumnę ze zwłokami z rąk niosących i zaniósł ją do cerkwi, gdzie miejscowy ksiądz grecko-katolicki dokonał pokropienia zwłok, które następnie przy udziale bractwa cerkiewnego, pochowano na cmentarzu.

REPORTAŻ Z ROSJI SOWIECKIEJ

Sowiety narzuciły 160 miljonom ludzi zgoła odmienne warunki polityczne, gospodarcze i społeczne. Rodzi się więc pytanie, czy te nowe warunki przeistaczają duszę ludzką, czy zmienią psychologję człowieka?

To chyba kwestja istotna i zasadnicza. Sprawa tego nowego człowieka, zwłaszcza nowej kobiety, przykuła całą moją uwagę podczas mego ostatniego pobytu w Rosji sowieckiej.

Starałam się wyjaśnić sobie i określić, czego ideologja i władza sowiecka wymagają od nowego człowieka. Czego się trzeba wyzbyć i w co wyposażyć, aby zasłużyć w oczach tamtejszej władzy na miano nowego człowieka i przez to zdobyć pełnię praw obywatelskich?

Nowa kobieta — bo o niej chcę mówić przedewszystkiem — winna być zwolenniczką doktryny komunistycznej.

Po zadekretowaniu ustroju komunistycznego, a więc po uspołecznieniu środków produkcji i wprowadzeniu nowych urządzeń państwowych, jednym z pierwszych kroków władzy sowieckiej było zrównanie kobiety z mężczyzną we wszystkich funkcjach prawnych życia. Zmiana zadekretowana wyraziła się co do kobiety, między innemi, daniem jej możliwości zarobkowych na równi z mężczyzną. A ponieważ w ustroju sowieckim naczelną legitymacją jest wykonywanie pewnej pracy, przeto umożliwienie kobiecie zarobku jednakowego z mężczyzną na danym stopniu kwalifikacji, uczyniło ją niezależną.

W związku z tą niezależnością, obluźnił się stosunek kobiety do pojęcia rodziny. Instytucja małżeńska przestała działać na wyobraźnię kobiety, jako przystań dla jej bytu osobistego. Miłość, spójnia życiowa z mężczyzną, macierzyństwo i wychowanie dziecka, przestały być emocjonalnym ośrodkiem duszy kobiecej, marzeniem i poezją jej życia.

Ujęta w żelazny tryb pracy, która w zamian daje minimum egzystencji, kobieta według komentarzy doktryny sowieckiej, powinna wyplenić z siebie wszelki sentyment. Nie ma ona poprostu czasu na przeżycia miłosne, — budownictwo socjalistyczne winno ją w całości pochłonąć.

Z mężczyzną wiąże ją wyłącznie przyjaźń koleżeńska, a miłość, jak powiada wyraźnie sowiecki pisarz Romanow w jednej ze swych nowel, jest to tylko stosunek fizjologiczny, Każdy kto szuka w miłości innych jeszcze podniet, niż fizjologiczne, pogrąża się w oparach psychozy. Należy spoglądać nań z politowaniem. Jest to człowiek ograniczony umysłowo, nieuspołeczniony i niewspółczesny.

Doktryna taka pociąga za sobą z konieczności trywialność w stosunkach obu płci. W obcowaniu wśród młodzieży uderza też ton brutalny, a nawet cyniczny, zatracają się prymitywne chociażby formy towarzyskie.

Uwzględnienia właściwości psychicznych kobiety poniechano i wyrzucono je do lamusa, „przeżytków burżuazyjnych". Delikatność uczuć, wszelka subtelność w stosunku mężczyzny do kobiety byłyby rozumiane, jako przesąd. Kobieta jest wyłącznie towarzyszem partyjnym, zarówno w wykonywaniu pracy, jak w pojmowaniu i szerzeniu haseł programowych.

Jeżeli wśród tych haseł uwypukla się przedewszystkiem walka z Bogiem, kobieta winna brać żywy udział w propagandzie antyreligijnej. Jeżeli ideologja komunistyczna wymaga zdeptania wszystkich przesłanek stworzonych tradycją, uczuciem, związkami rodzinnemi, trzeba się temu nakazowi poddać. Pochodzenie mieszczańskie, (a więc urzędnicy carscy, funkcjonarjusze kultów religijnych i kupcy), wymaga szczególnej ekspjacji. Dzieci tych kategorji mają np. wstęp na uniwersytet zamknięty. Drogę do wyższych studjów może im stworzyć tylko oświadczenie pisemne, w którem wyrzekają się rodziców i zrywają z niemi wszelki kontakt. Ponieważ studja wyższe umożliwiają osiągnięcie lepiej kwalifikowanych rodzajów pracy, fakty wyrzeczenia się rodziców są częste.

Taką winna być nowa kobieta w ideologji komunistycznej. Lecz jaką jest ona w rzeczywistości?

Uczciwa, świadoma komsomołka i komunistka stara się sprostać wymaganiom władzy i partji.

Pierwszym ku temu krokiem jest przekonać siebie i swe otoczenie, że się wyzbyła sentymentu, nie dba o swój wygląd zewnętrzny, że nie obchodzi jej schludność i estetyka pożycia. Tak należy postępować, taka musi być emanacja na zewnątrz przeistoczeń wewnętrznych.

Ale czy to czasami nie zawodzi?

Ojciec pewnej komunistki opowiadał mi, że córka jego w sposobnej chwili dopada osobnego pokoju, zamyka się szczelnie, zasłania okna, i chociaż w izbie brak wszelkich ikon, pada na kolana, zaczyna się modlić żarliwe, kaja się i bije pokłony. Tajemniczy zew uczucia religijnego, drogą opozycji wewnętrznej działa, byle jej tylko nikt na tym karygodnym występku przeciw tezom oficjalnym nie przyłapał.

Przypadek chciał, abym zwiedzając Instytut Pracy, zetknęła się ze swą dawną znajomą, z dni jej dzieciństwa. Była teraz pracownicą w tej instytucji. Rozmowa weszła na tor szczególny.

„Proszę mi opowiedzieć — zapytała — jak wyglądają u was zagranicą kobiety, czy noszą długie suknie, a płaszcze, kapelusze? a jak wyglądają ulice, wystawy sklepowe?"

„W zeszłym roku — mówiła gorączkowo otrzymałam w kooperatywie płaszcz, ale jest taki krótki, sięga ledwo kolan! Nic nie mogę poradzić, aby go przedłużyć".

Miała przytem zatroskaną twarz i smutne oczy.

Oglądała z zainteresowaniem każdy szczegół mego ubrania, dotknęła kapelusza, włosów, obejrzała ręce.

Czy da się kiedy wyplenić w kobiecie instynkt piękna, umiłowanie tych wartości, które nie będąc treścią, są niezawodnie upragnionym ornamentem życia?

— A ty co robisz po biurze — zapytałam.

— Od czwartej do szóstej stoję w kolejce po obiad, od 6 do 10 słucham wykładów w „Wuzie". W dniach wolnych (odpoczynek co 6 dzień) pracuję także w biurze i w „Likbezie", aby w ten sposób przez entuzjazm do pracy odpokutować swe pochodzenie burżuazyjne.

Patrzę na nią pytająco.

Są to — objaśnia — kursy, które mają na celu likwidację analfabetyzmu.

Na pożegnanie ofiarowuję jej jedwabną chusteczkę z kieszonki kostjumu.

Twarz jej odrazu się rozjaśniła, oczy się zaśmiały. Taki drobiazg sprawił jej tyle widocznej radości!

Najgorsze jest położenie młodzieży, nie należącej do partji. Musi się ona kryć ze swemi poglądami i jednocześnie cierpi przez to, że nie może wyplenić w sobie tęsknoty ku subtelniejszym i tkliwszym akcentom stosunków życiowych.

To też nierzadkie bywają samobójstwa na tle załamania psychicznego.

Lecz przejdźmy teraz do materjalnej strony życia.

Jakie są warunki bytu kobiety?

Władza sowiecka — przyznać to należy bez zastrzeżeń — rozwiązała zagadnienie, o które walczy obecnie ruch kobiecy na Zachodzie.

Przyznała kobiecie równe prawa z mężczyzną. Zaprowadziła równą płacę za równą pracę. Na obszarze Związku sowieckiego praca kobiety nie może być tańszą od pracy mężczyzny — rozumie się, w tych samych kategorjach zatrudnienia i przy tych samych kwalifikacjach.

W Sowietach widzi się kobiety zajęte w zawodach, niedostępnych dla nich na Zachodzie.

Kobieta kontroluje bilety przy wejściu i wyjściu z dworców kolejowych, jest konduktorem w pociągach i w tramwajach, pełni na nich służbę motorniczki, wspina się po rusztowaniach wielopętrowych budowli, brukuje ulice, bierze masowy udział w lotnictwie (w r. ub. w Kijowie 260 kobiet uzyskało dyplomy lotników, a szkoła lotnicza liczy tam 800 kursantek), jest instruktorką musztry żołnierskiej (podobno cieszy się autorytetem i posłuchem), występuje w charakterze prokuratora w wielkich procesach politycznych i kryminalnych, jest inżynierem, architektem, agronomem, milicjantem, słowem każde zajęcie jest jej dostępne.

W poczekalni dworca kolejowego kobieta kontrolująca bilety, zatrzymuje jakiegoś mężczyznę. Chce on mimo to przejść siłą. Zastępuje mu drogę ze słowami: „Obywatelu, usłuchajcie prawa". W odpowiedzi pada kilka tradycyjnych mocno niecenzuralnych wyrazów. Zaczyna się szamotanie. Zajście likwiduje żandarm kolejowy.

Wchodzę pierwszy raz do tramwaju, kobieta — konduktor stoi na ławce i stamtąd ponad głowami jadących odbiera pieniądze i wydaje bilety. Wciąż słyszy się nawoływanie, „obywatele, posuwajcie się do przodu". Pasażerów wchodzi tylu, ilu się ich zmieści — wszyscy przecież muszą jechać. Kiedy i ona już się nie może poruszać, odpycha od siebie najbliżej stojących ze słowami: „obywatele, nogi mi połamiecie", na co jakiś dowcipniś się odzywa: „to schowaj je do kieszeni". A konduktorka replikuje: „A ty tam gębę zamknij".

Wychodzę na pomost, aby przypatrzeć się kobiecie w roli motorniczki i w tej chwili słyszę ostry głos. „Zamykać drzwi, przyzwyczailiście się, że lokaje za wami chodzą". Nie wiem, czy to było skierowane wyłącznie do mojej osoby, w której odrazu odgadła przedstawicielkę burżuazji, czy i do innych pasażerów.

W autobusach słyszy się podobne aluzje, w nich pracują kobiety, tylko jako konduktorki. Inspekcja sanitarna zabrania kobietom prowadzić autobusy, gdyż zanadto trzęsą, co może być szkodliwe dla zdrowia motorniczki.

Młoda konduktorka ogłasza kierunek jazdy; ktoś ma pretensję, że nie słyszy. Rozpoczyna się djalog:

— „Należy głośniej mówić", woła pasażer. A wy

obywatelu — odpowiada konduktorka — lepiej otwierajcie uszy, nie mogę każdemu mówić do ucha.

**
*

Każdy wjeżdżający cudzoziemiec powinien natychmiast się zarejestrować w Wydziale Zagranicznym Miejskiej Rady Sowietów.

Z samego rana zabieram się do tej czynności.

Pierwszy milicjant zapytany o drogę, nie orjentuje się i pyta, czy szukam Zaksu — urząd stanu cywilnego dla zawierania małżeństw. Tłumaczę, że cel mojej rejestracji jest inny. Odpowiada mi gestem — „Idźcie prosto".

Cierpliwie pytam dalej o drogę. Następny milicjant już wogóle nic nie odpowiada i odsyła mnie do informacji na placu.

Podchodzę do małej budki, toczy się właśnie rozmowa jakiegoś obywatela z informującą urzędniczką.

Słyszę ostry i cierpki jej głos:

— Słuchajcie, obywatelu, co wam mówię.

— Ależ obywatelko, dlaczego wy krzyczycie na mnie, ja was proszę o informację. Powiedzcie mi, jak się nazywała dawniej potrzebna mi ulica.

— „Nijak — pada odpowiedź — tej ulicy wogóle dawniej nie było".

— „Powiedźcie chociaż, jak się tam dostać".

— „Już wam raz powiedziałam, trzeba było słuchać, co mówię".

Zrezygnowany obywatel macha ręką i odchodzi.

Jest mi przykro. Zaglądam do budki, widzę kobietę w średnim wieku w chustce, o wychudłych spracowanych rękach, o twarzy zmiętej i opryskliwej.

Nie, tu się niczego nie dowiem. Odchodzę w milczeniu. A więc kobieta zdaje się nie wniosła do swej służby tonu łagodniejszego.

Blisko godzinę błądzę jeszcze po ulicach, zanim znalazłam potrzebny mi urząd.

W ciągu tych poszukiwań, zachodząc do wskazywanych mi kolejno różnych biur i urzędów, znalazłam się także na poczcie. Rozglądam się i widzę, jak urzędniczki w wolnych od zajęć chwilach, ślęczą nad rozwiązywaniem zadań algebraicznych. Widocznie po skończonem urzędowaniu uczą się lub dokształcają.

W innej jakiejś kancelarji przy wejściu zauważyłam, jak wszystkie urzędniczki kleją ze starych gazet torebki. Poco? W 15-tą rocznicę rewolucji bolszewickiej obiecano im dać trochę cukru, herbatników i cukierków. Trzeba jednak ze sobą przynieść — torebki...

Dzień powszedni nie ogranicza się do ośmiu godzin pracy zawodowej i zarobkowej. Obywatel sowiecki jest ponadto obowiązany do wykonywania prac społecznych. (Jest to tak zwana „Obszestwien. nagruzka"). Między niemi dużo miejsca zajmuje przysposobienie do obrony kraju, na równi z mężczyzną obowiązujące i kobietę. Musztra, strzelanie, obrona przeciwgazowa, sanitarjat, służba łączności, — we wszystkich tych przygotowaniach bierze udział także kobieta. Raz na miesiąc słuchacze wszystkich wyższych zakładów naukowych wyruszają za miasto. aby się wprawiać w różnych ćwiczeniach wojskowych.

Jeżeli dodamy do tego nieustające zgromadzenia, wiece, konferencje, odbywające się niemal codziennie, okaże się, że nie osiem, lecz szesnaście i więcej godzin jednostka winna poświęcić budownictwu socjalistycznemu. Pociąga to za sobą stan stałego przepracowania i przemęczenia, które życie domowe, czy rodzinne prowadzą do bezładu i chaosu. Instytuty Pracy, których zadaniem jest badanie zmian anatomicznych i fizjologicznych, wywoływanych choćby najmniejszym ruchem w toku pracy zawodowej, w gąszczach tej analizy szczegółów, zatracają często syntezę w ocenie sumy pracy jednostki. Nadmierny jej wysiłek nie może odbijać się dodatnio na budownictwie socjalistycznem.

**
*

Kierownictwo W. O. K. S-u, instytucji która ma na celu współpracę kulturalną z zagranicą, umożliwia mi spotkanie z kierowniczką Wydziału Opieki nad matką i dzieckiem przy Zakładzie Medycyny miejscowego uniwersytetu. Kierowniczką jest lekarka, osoba młoda, doskonale zorjentowana w zagadnieniach kobiecych.

Wśród kilku pytań skierowanych do mojej informatorki, wysunęłam także kwestję prostytucji. Widzę najpierw zarysowujący się uśmiech wyższości.

— Prostytucja — odpowiada zwolna — nie, tego u nas wogóle niema. Reglamentacja ustała z chwilą wydania deklaracji praw ludu pracującego. Niepoprawne prostytutki umieszczono w obozach koncentracyjnych, całe jednak ostrze represyj skierowano przeciw właścicielom domów publicznych i kuplerom. W dalszym toku walki z prostytucją wydano zarządzenia, które chroniły zarobkowanie kobiet samotnych, dziewcząt bezdomnych, kobiet z małemi dziećmi. Wychodząc z założenia, że należy walczyć z prostytucją, a nie z prostytutkami, powołano do życia instytucje, przeznaczone do leczenia chorób wenerycznych t. z. profilaktoria. Pozatem wielka akcja oświetlająca zagadnienie hygjeny płciowej, literatura popularna, najrozmaitsze inne rodzaje propagandy, uświadomiły ogół dostatecznie. Wspomniane profilaktoria po wyleczeniu chorej, dawały jej przytułek i zaprawiały przez rok do regularnej pracy zarobkowej. Wyleczone na ciele i duchu po otrzymaniu pracy, np. w zakładzie przemysłowym, wracały do społeczeństwa.

Tak jest — kończyła moja rozmówczyni — prostytucji u nas niema, a jeżeli tu i owdzie znajdują się jeszcze prostytutki, to są to zdeprawowane córki klas ongiś posiadających, córki szlacheckie, a na nich państwu sowieckiemu nie zależy.

**
*

Tak oto jesteśmy świadkami wielkiego eksperymentu, który zdumiewa ogromem zamierzeń. Sto sześćdziesiąt miljonów istnień ludzkich, zmuszonych zostało do zerwania wiązań dawnego ładu.

Proces, jaki przeżywa społeczeństwo skomunizowane, zaciążył, jak widmo ponure nad życiem człowieka wczorajszego. Ujęty jednak w żelazne tryby przemocy państwowej, uległ i słucha. Ideologja bolszewicka odniosła pełne zwycięstwo zewnętrzne, a na wewnątrz szerzy panowanie, kształtując na swą modłę i organizując po swej stronie pokolenie młode.

Czy nowy typ człowieka pozytywny, racjonalistyczny, wypleniający ze swych działań pobudki uczucia, fantazji, poezji, stanowi zdobycz niezawodną, do żadnych dalszych zmian niezdolną?

Po pilnej obserwacji zjawisk na miejscu, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wzgardzone dziś pierwiastki sentymentu i wyobraźni nie są skazane na zagładę ostateczną.

Ujmie je i ciepłem swej duszy ogrzeje kobieta.

I za swe wyzwolenie odpłaci powołaniem zpowrotem do współwładzy — uczucia... *Zofja Wolska*

PLASTYKA NA POCZCIE

Nudę czekania na poczcie umilają nam od pewnego czasu wrażenia artystyczne, odbierane na miejscu dzięki barwnym widokówkom oraz ozdobnym blankietom. Te eksponaty wiszą w każdym urzędzie pocztowym tak, żeby publiczność mogła je dokładnie podziwiać, jednak nie służą „czystemu" pięknu. Poczta nie jest bezinteresowna i nie chce spełniać roli IPS'u. Nie hołduje przebrzmiałym hasłom „sztuki dla sztuki". Poczta idzie z czasem i uznaje tylko sztukę utylitarną. Dochód bowiem ze sprzedaży tych widokówek ma zasilić fundusz bezrobocia. Piękna myśl.

W jakich momentach życia przychodzi obywatelowi do głowy posłać komuś widokówkę? Przeważnie wtedy, gdy jest w dobrym humorze, na wycieczce, lub w podróży. W Zakopanem, wybiera Giewont lub Morskie Oko, w Wenecji — plac św. Marka z gołębiami i z samym nadawcą, z Paryża posyła się zwykle wieżę Eiffla na dowód, że się było na jej szczycie, albo też Łuk Tryumfalny na dowód, że pod nim leży kto inny, a nie nadawca. Wysyłamy również widokówki na święta, imieniny, urodziny, rocznice ślubu i złote wesela, ilekroć nie mamy czasu ani cierpliwości do napisania listu i o ile nie chcemy wydać pieniędzy na telegram. Ale bywają też inne okazje do wysyłki widokówek, których plastyczna treść stanowi wymowne dopowiedzenie treści pisanej przez nadawcę na odwrotnej stronie.

Zbyteczną rzeczą byłoby rozwodzić się nad tem, jakie treści duszy nadawcy komentuje i dopowiada widokówka przedstawiająca całującą się parę lub rozkwitłą różę, albo też baby z kłódkami na ustach, baby, bite przez mężów w siedzenie, bociany z dziećmi w dziobie i t. p.

Widzimy więc, że widokówki służą na ogół krzewieniu urody życia. Przykładem tego może być serja typów ludowych, wystawiona na poczcie: każda kartka z tej serji mówi o wielkiej radości życia, panującej wśród naszego włościaństwa, z wszystkich niemal twarzy promieniuje sytość, zdrowie, wszystkie czoła są jasne, a oblicza „kraśne" i niepokalanej harmonji. Na całym świecie obowiązuje idealizm folkloru pocztówkowego, na całym świecie chłopi, na pocztówkach wyglądają, jak manekiny z muzeów etnograficznych. Mężczyźni mają takie twarze, jakby używali do golenia kremu „Vinolia" i czyścili zęby Kalo lub Chlorodontem, a ręce takie, jakby codziennie robili manicurę. Kobiety czynią wrażenie stałych klijentek zakładów Elisabeth Arden. Spójrzmy tylko na ręce pocztówkowych rolników, pasterzy i robotników: nie chce się wierzyć, że właśnie te ręce wykonywują t. zw. czarną robotę, bez której nie byłoby t. zw. chleba. A może są to ręce ludu w czasie bezrobocia? W takim razie twarze kłamią.

Malownicze idealizowanie t. zw. niższych klas jest jedną z odwiecznych metod społecznego zakłamywania się warstw uprzywilejowanych i znane było już przed Wielką Rewolucją. Najwięksi malarze okresu poprzedzającego gilotynę stylizowali śmierdzących pastuchów na wonnych arkadyjskich Amyntasów, a niemyte pastuszki, przemienione pod ich pędzlem na wonne sielankowe Phyllidy i Amaryllidy, czarowały arystokratyczne damy tak długo, aż te damy same zaczęły się przebierać za pasterki i z długiemi pastorałami błądzić po parkach i gajach, gdzie były ukryte sztuczne szałasy.

Jeśli widokówki naszej poczty krzewią urodę życia, to ozdobne blankiety telegraficzne iluminują urodę śmierci. Oczywiście — nie tej prywatnej, którą samotny człowiek umiera pokątnie i że się tak wyrazimy — na własną rękę, lecz — śmierci publicznej, zawodowej, gromadnej, śmierci na świeżem (chyba, że zanadto trupim odorem i gazami zatrutem), powietrzu. Człowiek umierający za samego siebie może być ubrany jak chce. Przeważnie czyni to w nocnej bieliźnie i pozycji leżącej. Tym nieefektownym wyglądem rzadko pobudza twórczą wyobraźnię malarzy. Natomiast człowiek zaszczycony śmiercią za króla, za cesarza, za naftę, za kolonje, za guano (Peru), za saletrę (Chile) i t. p. dokonywa aktu złączenia się z wiecznością w specjalnym stroju, którego malowniczość maleje niestety z każdym dziesiątkiem lat. W porównaniu z widowiskiem śmierci husarza Sobieskiego lub napoleońskiego szwoleżera, śmierć poilu z Wielkiej Wojny wygląda bardzo mizernie, a prywatna śmierć cywilna wogóle nie zasługuje na nazwę śmierci.

Poglądową lekcję ewolucji mundurów i narzędzi śmiercionośnych, ewolucji w kierunku odbarwienia ich, względnie odromantyzowania, dają nam właśnie luksusowe blankiety telegraficzne. Na sześciu kolorowych obrazkach, oglądamy po kolei wojowników polskich tak, jak byli ubrani i uzbrojeni w czasie najważniejszych w historji ojczystej bojów. Najpierw rok 1410. Dwaj rycerze grunwaldcy. Obaj na olbrzymich rumakach. Głowę, grzywę i pierś jednego z tych rumaków okrywają żelazne płaty. Widać z tego, że pod Grunwaldem starano się dać maximum ochrony przed ciosami rohatyn, dzid, mieczów i toporów nie tylko ludziom, lecz i zmilitaryzowanym przez ludzi zwierzętom. To były czasy! Jakże namęczyć musiał się wróg zanim udało mu się trafić rycerza w jakąś słabiznę, w jakieś nieosłonięte miejsce! Sami rycerze, naturalnie, też byli zakuci w żelazo od stóp do głów, ale nie wszyscy w równym stopniu. Rynsztunek nie był wówczas własnością Państwa, zbroi się nie fasowało, lecz każdy rycerz sam musiał ją sobie sprawić. Wobec tego, ten, kogo było na to stać, dekował się żelazem od stóp do głów, kogo zaś nie stać było na solidny pancerz, ratował się, jak mógł, ale niewystarczająco. Z obu rycerzy na obrazku tylko jeden jest idealnie uzbrojony i udekorowany. Na szczycie jego szyszaka widzimy, aż dwie ozdoby: czerwoną, na sztorc postawioną kitę, za którą romantycznie faluje pod wiatr popielaty pióropusz. Prawdopodobnie rycerz ten ma wysoką szarżę i dużo pieniędzy. Zbroja jego jest i bogata i szczelna, a szyszak zaopatrzony — w przyłbicę. Towarzyszący mu jeździec, może wcale nie jest rycerzem samodzielnie wojującym, lecz tylko giermkiem, czyli honorowym ordynansem. Zbroja jego zatem jest o wiele skromniejsza i mniej chroni od ciosów. Pancerza jeździec ten wogóle nie ma, tylko kolczugę, nakrytą jakimś białym materjałem, na którym widzimy wyhaftowany, czy wymalowany herb. Ciekawe, że nawet koń jego gorzej jest zabezpieczony od tamtego konia. Tylko głowę ma nakrytą blachą, reszty — już nie.

Idźmy dalej. Rok 1683. Wiedeń. Trzej wspaniali

husarze w pełnym galopie nacierają włóczniami na nieprzyjaciela, którego wcale nie widać. W tem miejscu takt i technika malarza oszczędziły mu widoku przebitych włóczniami Turków.

Niewątpliwie autor tych obrazków musiał oprzeć się wielkiej pokusie i stoczyć we własnej duszy bój stokroć groźniejszy od tego boju, którzy namalował. Sławni bataliści nie wyrzekali się na swych obrazach — trupów. Zwłaszcza trupów przeciwnika. Rzadko tylko spotykamy na obrazach sławiących zwycięstwa narodu, czy państwa, do którego należy autor — poległych po naszej stronie. Prawie tak, jak w oficjalnych komunikatach dowództwa byłej c. i k. armji. Nawet na płótnach Horacego Verneta w Wersalu widzimy przeważnie tylko zwłoki wrogów. My nigdy nie „padamy" na patrjotycznych kiczach. Do tego celu właśnie służą nam wrogowie. My zawsze jesteśmy zdrowi, rumiani, czerstwi i odważni.

Otóż na żadnym z sześciu obrazków na blankiecie nie widzimy zabitych, ani po jednej, ani po drugiej stronie. W miejscu, gdzie należałoby się spodziewać owocnych skutków akcji bojowej, obrazy urywają się i kończą ściętym pejzażem.

Husarji Sobieskiego nie trzeba opisywać, każde dziecko polskie wie, że miała na plecach skrzydła, ale nie białe, jak u aniołów, lecz ciemne, jak u djabłów. I słusznie: jak można straszyć kogoś anielskiemi skrzydłami?

Następny obrazek — to rok 1812. Dwaj piękni ułani księcia Józefa. Wyglądają tak samo, więc pewno tej samej szarży. Kurzu na ułanach nie widać, chociaż kopyta końskie wzbijają spory tuman. Po minie jeźdźców poznać, że szkoda im pięknych mundurow.

Do tej pory mieliśmy samą kawalerję. Rok 1863 rozpoczyna przegląd mundurów piechoty. Nie jest to ścisłe, gdyż dwaj uczechnicy bojów powstańczych na obrazku nie należą do regularnego wojska. To partyzanci. Obrazek ten jest najbardziej ludzki i może wzbudzić sympatję nawet u pacyfisty. Z wszystkich bojów polskich najtragiczniejsze były powstania i przez to najbardziej zapładniające wyobraźnię wielkich artystów. Oczywiście po Grottgerze, każdy obrazek, przedstawiający scenę powstańczą z r. 1863, musi wydać się kiczem. I ten jest kiczem, ale łagodnym. Scena w lesie. Stary szlachcic w cywilnej świtce nabija strzelbę, obok niego klęczy młody chłopak w kurtce i konfederatce i strzela do niewidocznych Moskali. Charakterystyczne w tym obrazku — i dlatego nazwałem go najbardziej ludzkim — jest to, że stary szlachcic ma głowę obandażowaną. Na czole, na środku chustki widnieje czerwona, krwawa plama. Inna sprawa, że rana ta wygląda bardzo estetycznie, jest idealnie okrągła, jakgdyby odmierzona cyrklem. Na wszystkich kiczach rany są zawsze estetyczne, a krew wygląda, jak syrop.

Wreszcie rok 1914. Znamy błękitny mundur legjonistów z wojny, która dzięki nim przyniosła Polsce niepodległość. Tutaj, na obrazku, trzej legjoniści w ataku na bagnety przeskakują okopy. Widać rozwalone zasieki.

Najwymowniejszy i najgroźniejszy jest r. 1920. Z zielonego wzgórza stacza się w dół olbrzymi tank w pełnej akcji. Z paszczy armatki, ukrytej pod żelazną kopułką zieje ogień i dym. Nad pobojowiskiem, wysoko, szybuje samolot. Obok tanku idą do szturmu trzej piechurzy w hełmach. Twarze w maskach gazowych. Mundury szaro-zielone, takie same, jak tanki i jak ziemia. Znów rozwalone zasieki.

Wobec grozy tego obrazka — tamtych pięć wydaje się dziecinną igraszką. Głównie dlatego, że ludzie w maskach gazowych z r. 1920, wyglądali tak, jak mybyśmy dzisiaj wyglądali, gdyby... Wypluwam to słowo.

Ogarniając całość, widzimy, że w dawnych wiekach życie ludzkie i życie końskie cenniejsze było, niż dziś. Dawniej szczelne pancerze, przyłbice, tarcze, chroniły wojownika od ciosów i oddalały od niego ewentualność śmierci. Dzisiaj tylko żołnierze umieszczeni w tankach i pancerkach mogą liczyć na jako taką ochronę. Miąższ ciał, odzianych w sukno, jest zupełnie bezbronny wobec kuli karabinowej, nie mówiąc już o grubszych pociskach. Oczywiście w walce w otwartym terenie. Jedynie hełm nakrywający głowę daje wątpliwe zabezpieczenie przed pociskami padającemi pionowo z góry. Od pocisków padających poziomo nie chroni twarzy.

Takie i podobne myśli nasuwają ozdobne blankiety telegraficzne. Między sześcioma, reprezentowanemi na nich wojnami, istnieje ciągłość. Jest to — zdaje się — jedyna ciągłość, jaką możemy się w naszych dziejach poszczycić. W r. 1410 wyglądaliśmy tak, w r. 1812 tak, a w r. 1920 znowu tak. Istnieje, jak widzimy niewyczerpana pomysłowość w odziewaniu ludzi przeznaczonych na śmierć bohaterską. Z nieodpartą konsekwencją nasuwa się pytanie: a w jakim stroju będziemy, — co nie daj Boże — umierali w r. 19....? Wtedy już mundury z roku 1920 mogą być niemodne.

Oglądając te obrazki trudno nie zapytać, w jakim właściwie celu i w czyim interesie wypuściła poczta te blankiety, za które nadawca depeszy płaci dodatkową złotówkę? Poczta wprowadzając te blakiety spekuluje widać na zmyśle estetycznym publiczności, na jej smaku i uczuciach, przyczem zakłada zgóry, że zarówno ten zmysł, jak i smak, są u większości interesantów wyrobione i ustalone. Takby było wówczas, gdyby poczta urządziła plebiscyt w całej Polsce i otrzymała dodatnie wyniki. Skoro jednak poczta nie upewniła się w drodze plebiscytu, że smak jej rzeczywiście odpowiada smakowi ¾ ludności, należy przypuszczać, że sama podjęła się roli wychowawcy tego smaku.

Depesze mogą być różnego rodzaju: handlowe, gratulacyjne, kondolencyjne, anonsujące przyjazd, nieszczęście, sukces, pieniądze i inne. Ozdobny charakter blankietów wskazywałby na to, że poczta liczy tu głównie na zbyt u gratulantów, których radość z powodu ślubów, narodzin, świąt i sukcesów jest aż tak wielka, że nie mieści się już na zwyczajnym bezbarwnym blankiecie, lecz chętnie przekroczy granice rzeczowości i za dopłatą jednego złotego da się unieść „pięknu". W takich chwilach — zapewne kombinuje poczta — obywatel poświęci złotówkę, żeby sprawić przyjemność adresatowi nietylko samą treścią depeszy, lecz i jej szatą zewnętrzną. I to właśnie nas zastanawia. Komu blankiet z tankami, z zasiekami, z maskami gazowemi sprawi przyjemność? Dlaczego poczta nie namaluje czegoś wesołego, np. Adama i Ewy w raju, P. K O., lub jakichś kwiatuszków? Logicznie myśląc — tylko depesze kondolencyjne dla rodzin poległych na wojnie powinny być doręczane na tych blankietach. Trudno wszak

komuś winszować urodzenia syna — na papierze, gdzie widać, co czeka synów, gdy dorosną. Można również ucieszyć takim blankietem krawców wojskowych, fabrykantów broni, sukna, sprzętu wojennego i innych dostawców śmierci. Im te widoczki z pewnością będą miłe.

Na tem zdaje się — koniec.

Aha, jeszcze jedno. Można np. wysłać taką depeszę:

LIGA NARODÓW

GENEWA

Obradom konferencji rozbrojeniowej z całego serca życzy powodzenia *Józef Wittlin*

KASSANDRY NASZYCH CZASÓW

Redakcja „Expressu Porannego" rozesłała do szeregu pisarzy ankietę na temat: „Czy kultura nasza chyli się ku upadkowi?" Jedno z pytań ankiety dotyczyło również roli publicysty w budowaniu przyszłości. Na ankietę odpowiedzieli dotychczas prof. Tadeusz Zieliński, Paweł Hulka-Laskowski, Józef Wittlin, Józef Wasowski, Bruno Winawer i Wacław Rogowicz. Odpowiedź redaktora „Epoki" brzmi.:

I. Wszystkie Kassandry naszych czasów przepowiadają upadek europejskiej kultury i cywilizacji. W Niemczech wodzem czarnowidzów jest Oswald Spengler, którego dzieło „Untergang des Abendlandes" wywołało tak żywą i do dziś toczącą się dyskusję. W Anglji G. T. Masterman w książce „England after War" daje obraz nadchodzącej katastrofy wszecheuropejskiej. We Francji George Batault („La guerre absolue") ukazuje pochyłość, po jakiej stoczyć się mamy w przepaść. U nas prof. Marjan Zdziechowski w zbiorze szkiców p. t. „Europa Rosja Azja" daje taki wyraz swego najkrańcowszego pesymizmu: „W epoce, daj Boże, najkrótszej tryumfującego zła, w którą przyszliśmy, a która przynajmniej w mojem indywidualnem uczuciu i przeczuciu, niesie ze sobą dobrą nowinę, zwiastującą koniec nietylko Europy, ale świata, ludzkości..." i t. d. Słowa grozy i przerażenia znajdujemy również w interesującej rozprawie Artura Śliwińskiego p. t. „Na przełomie dwóch epok".

Nieraz już w dziejach rozlegały się tego rodzaju straszliwe przepowiednie. Wówczas mianowicie kiedy następowały głębokie zmiany w układzie sił społecznych. Naruszenie status quo, rewizja pojęć tradycyjnych, przeobrażenia psychiczne i moralne uważane były zawsze za „zmierzch" czy „upadek" kultury. Tak myśleli przedewszystkiem ci, którzy mieli dużo albo wszystko do stracenia przez nadchodzące zmiany, przewroty, rewolucje. Patrycjusze rzymscy również biadali nad „końcem cywilizacji", kiedy wyzyskiwani, zamęczani i katowani niewolnicy zaczęli się buntować.

Na obrazie rzeczywistości współczesnej nie dostrzegam znaków upadku kultury i cywilizacji, lecz zapowiedzi powszechnej przemiany zbiorowego życia. W detronizacji starych bogów i bożków nie upatruję ani katastrofy świata, ani nowej Sodomy i Gomory, lecz — nowy, wielki etap w dziejach rodzaju ludzkiego, odbywającego swój pochód ku lepszemu Jutru poprzez epokę negacji i twórczego burzycielstwa, poprzez mękę, trud i mozół dnia dzisiejszego. W książce mojej „Wielkie czasy", w rozdziale p. t. „Czy zmierzch cywilizacji?" pisałem: „Po każdym kataklizmie przychodziła najpierw epoka przełomu, nie zaś cudotwórcze światło nowej ery. Kto w pożarach rewolucji, czy wojny chciał widzieć zapowiedź natychmiastowej, całkowitej i radosnej odmiany życia zbiorowego, a nawet przeistoczenia natury człowieka, ten zawsze doznawał srogiego zawodu. Raj na ziemi, albo koniec świata. Wielki triumf dobra, albo zagłada i śmierć. Pomiędzy temi biegunami szamoce się myśl oderwana od rzeczywistości i przerzucająca się ze szczytów optymizmu w otchłań rozpaczy. Rzeczywistość powojenna jest okresem męki porodowej narodów i państw. Jest to epoka gorączkowych odruchów, wyjaskrawionych przeciwieństw, tysiąca prób społecznego i politycznego znachorstwa, epoka popłochu, w której rozwiewają się dawne fikcje i sugestje, do archiwum dziejowego przechodzą dawne kryterja, by ustąpić miejsca niewyraźnie jeszcze zarysowującym się nowym wartościom, normom, drogowskazom. Na miejsce rzeczy nieprzydatnych i przebrzmiałych ludzkość nie wprowadza w spokoju rzeczy nowych, już wypracowanych i gotowych. Wprzódy popada w impas i kryzys duchowy. Tak po latach kataklizmu kształtuje się przyszłość świata. Te lata można raczej porównać do trzęsienia ziemi, niż do uroczystej intronizacji nowych panujących. Kto zbyt niecierpliwie pragnął ujrzeć tę intronizację, najczęściej zbaczał na drogę rozpaczy, zniechęcenia i niesmaku, a tu już napewno nie znajdzie lampy Alladyna, lecz raczej ową harfiarkę z „Wyzwolenia", która „strunę liry trąca, jakby to słowo „nic" dzwoniąca"...

II. W szeregu budowniczych nowej przyszłości świata stoją ci publicyści, którzy rozumieją i odczuwają doniosłość swojej roli i mają żywe poczucie odpowiedzialności dziejowej. Wielomiljonowe rzesze czytelników myślą dziś argumentami gazety. Komentarz publicysty jest dla nich nauką najwyższą, niosącą sugestje najsilniejsze. Przyszłość świata zależy od tego, co się dzieje w mózgach ludzkich. Stąd — odpowiedzialność publicznego słowa. Perykles przed każdem wystąpieniem modlił się do bogów, aby jego słowa „były zawsze do rzeczy i na pożytek ludziom". Nie wymagam od współczesnego publicysty aż modlitwy przed napisaniem każdego artykułu, ale sądzę, że praca publicysty — ten codzienny i publiczny egzamin z jego stosunku do najważniejszych spraw społecznego życia — wówczas tylko ma znaczenie twórcze i dla przyszłości dodatnie, jeśli towarzyszy jej pełna świadomość wielkiej roli, jaką odgrywa słowo drukowane. Praca publicysty może być albo pospolitem rzemiosłem, handlem, spekulacją, albo błogosławioną nauką, światłem wśród mroków, wielką misją i nowoczesnem apostolstwem. Tę drugą rolę miał na myśli ś. p. prof. Ignacy Matuszewski, kiedy pisał o „prometeizmie publicystyki".

ODGŁOSY

HANDLOWE KRYTERJUM

Tygodnik *Świat* pragnie ustalić niezawodne kryterjum w ocenie wartości sztuk teatralnych. Pisze oto:

„W dobrze zapełnionym teatrze, każda sztuka jest dobra. I każde wykonanie".

Innemi słowy: niech sobie teatry grają, co chcą i jak chcą, byleby interes szedł dobrze. Praca krytyków teatralnych będzie ułatwiona. W teatrze pełno, więc sztuka doskonała, wykonanie świetne. Na widowni słabo, więc sztuka marna, wykonanie złe. Po co się głowić nad sprawami poziomu artystycznego, prawdy psychologicznej, wartości ideowej, nad zagadnieniem reżyserji, inscenizacji i t. d.? Dość sprawdzić stan kasy i sąd o sztuce gotowy. Jak w sklepie: klijentów dużo — to znaczy, że interes jest dobrze prowadzony.

Jak dotychczas kryterjum handlowe w dziedzinie literatury i sztuki jeszcze nie obowiązuje. Ale jak „dobrze" pójdzie, teza „Świata" może zwyciężyć. Recenzje teatralne przeszłyby wówczas do działu handlowego.

BEZROBOTNY PRZY KOSZYKU

Dobrze znam koszykarza w okolicach Placu Teatralnego, gdzie zawsze kupuję gazety, to też zauważyłem odrazu, że to nie pan Adolf, ale zupełnie ktoś inny na „właścicielskiej" ławeczce siedzi zatopiony w lekturze tak bardzo, że aż usta otworzył pod okularami i nie widzi, że przystanąłem i sięgam po numer. Gdyby nie „Epoka" w rękach nowego sprzedawcy, to pewnie nie zacząłbym rozmawiać, widok jednak „rodzonego" pisma podziałał.

— Cóż to się stało? pytam. Czyżby pan Adolf budkę sprzedał, że go dzisiaj niema?

— Nie to, odpowiada znajomek, tylko, że objad je. O tej porze ja go zawsze zastępuję, — zawsze a zawsze...

— Jakto? przecież wczoraj był!

— To nic, że wczoraj. Ja od dzisiaj dopiero, ale od dzisiaj — zawsze. Aż do wiosny.

Okulary już w kieszonce, a pan „zastępca" już stoi koło mnie i zgięty w strasznie miłym ukłonie pokazuje mi różne pisma do kupienia: — Pan szanowny czyta tylko opozycję?... Warto i rządowiaki poznać, żeby porównać, gdzie które łże... Ja tobym czytał wszyściutkie, ale czasu nie starcza...

— Dlaczego?...

— Bo pan Adolf bardzo prędko objad je, a jak przyjdzie, to we dwójkę na tym stołku niema gdzie siedzieć... Jakiem zastępował tego na Lesznie, ooo! to mogłem długo, bardzo długo czytać... latem, jak się zrobi cieplej, to znów będę latał w tamtą stronę...

— Dlaczego?

— Tamtego na Lesznie to poznałem już dawno, bo mieszkamy razem w jednym domu i na jednych schodach. Jak posadę straciłem i przez okno widzę, że się człowiek od objadu tak spieszy, a ja nie robię nic, to zaproponowałem i odtąd, Panie Szanowny, miałem przez całe dwie objadowe godziny czytelnię bezpłatną!... Bo ani ja nie płacę, ani mnie za to zastępstwo...

— No, a teraz?

— Nie, panu Adolfowi także nic nie płacę, że mi tu pozwala siedzieć. Zmieniłem miejsce, bo jestem sercowy i nie mogę tak het na koniec Leszna w obie strony na piechotę ganiać. Jest zimno, więc człowiek leci, aby prędzej i dlatego męczy się. Latem, to ja sobie, Panie Szanowny, pomalutku, noga za nogą, zajdę, a potem pomalutku wrócę z Leszna i bez żadnego zmęczenia, jak po maśle!... Warto taką drogę odbyć dla dwóch godzin czytania, nieprawda?

— Oczywiście, oczywiście!...

— Tylko, widzi pan, panie szanowny, że ludzie to są dranie!... Ja osobiście na Powiślu mieszkam i co się tam do którego koszykarza zwrócę o zastępstwo — to nie chcą! Jeden, to kaucję odemnie chciał. — Daj, powiada, dziadu, sto złotych, to cię do koszyka puszczę... I dlaczego, panie, tak? przecież i mnie wygoda, bo poczytam i tamtemu, bo przy dzieciach objad sobie zje... Ech! złe są ludzie!...

— A „Epoka" dobra?

— „Epoka", ma się rozumieć tak. Dobre pismo, ludzie czytają... A może i pan szanowny chce „Epokę"...

— Nie, dziękuję, mam w domu...

Staruszek zaklaskał w dłonie: — To dobrze, panie szanowny. Bo to u mnie ostatni egzemplarz, ja czytam dopiero na jedenastej stronicy... Gdyby pan kupił, to jabym się już nigdy nie dowiedział końca, a takie ciekawe!...

Jerzy Życieński

TEATR

„HANDLARZE SŁAWY" M. PAGNOLA I P. NIVOIX W TEATRZE KAMERALNYM

Może już nie dzisiaj, ale w pierwszych latach powojennych odbywał się na dość dużą skalę ów „handel sławą" poległych, tak dowcipnie, tak inteligentnie pokazany w sztuce Pagnola. Sława poległego, jeśli odznaczył się na wojnie czynem bohaterskim, spływała na rodzinę razem z zaszczytami i korzyściami materjalnemi. W atmosferze egzaltacji patrjotycznej mogli ojcowie bohaterów wyzyskiwać dobrą „konjunkturę", a sporo znalazło się takich, którzy śmierci syna „na polu chwały" zawdzięczali nawet niespodziewanie dobrą karjerę. Tragedja i reklama były tu kapitałem, który procentował się znakomicie.

W sztuce Pagnola, ojciec bohatera, osaczony przez zgraję spekulantów politycznych, wkracza na drogę wielkiej karjery, a na każdym jej stopniu toczy ze sobą walkę pomiędzy sumieniem a interesem. Interes zwycięża — nawet wtedy, kiedy niespodziewanie wraca do rodzicielskiego domu bohaterski „nieboszczyk", którego trzeba ukryć, bo inaczej bajeczne powodzenie ojca zamieni się w ponurą klęskę. Pagnol bardzo zabawnie zademonstrował owo tragikomiczne fatum spekulacji, która, wciągnąwszy na swoją drogę, nie daje już odwrotu. Tym razem chwyta w swoje tryby wszystkich, nie wyłączając „nieboszczyka", bo i ten przystępuje w końcu do intratnego bluffu.

Pagnol nie „smaga biczem satyry", ale śmieje się mądrze i serdecznie. Niema tu żadnych pouczeń, morałów, skarg, potępień, bo rzecz sama mówi za siebie: przepyszna maskarada w menażerji politycznej. Sztuka — wyśmienicie zrobiona, pełna przedniego dowcipu, interesująca, najzręczniej oscylująca pomiędzy niebezpiecznym makabryzmem, a komedjową zabawą.

We Francji sztuka ta miała duże powodzenie. Tam bowiem spekulacja polityczna ma swoją wielką szkołę i wielką tradycję. W tej dziedzinie nie doszliśmy jeszcze do takiego wyrobienia, do takiej fachowości i perfekcji, jak we Francji. W naszem życiu politycznem, gdzie na drogach karjery tryumf święcą metody prostackie, ordynarne, sztuka Pagnola nie ma tak silnego „odpowiednika". Powinna jednak odnieść sukces, bo ma wszystkie walory doskonałej komedji, a grana jest bardzo dobrze. Adwentowicz w roli ojca — znakomity, p. Żukowski (syn) zwrócił uwagę, jako nowy, pierwszorzędny talent, p. Kornacka — szczera, skupiona, pełna ujmującej prostoty, p. Wojciechowska — o mocnych akcentach dramatycznych, w scenie pożegnania — świetna. Na poklask zasłużyli pp. Kwiatkowski, Ścibor i Janowski.

Widz

„AZEF" SZTUKA A. TOŁSTOJA I P. SZCZEGOLEWA W TEATRZE POLSKIM

Wystawienie „Azefa" w Teatrze Polskim jest znakomitym przykładem, często zresztą powtarzającego się zjawiska, że zespół aktorski pod wodzą reżysera stokroć lepiej się spisuje od autorów scenarjusza. Inscenizacja „Azefa" ma swoje słabe strony, jednak bledną one i można powiedzieć, że znikają, wobec wielu dobrych momentów, wobec scen niekiedy świetnych. Patrząc na doskonałą grę aktorow, na ciekawą architektonicznie oprawę dekoracyjną, na wyzyskanie wszystkich „scenicznych" momentów sztuki, podziwiać należy, że można było z tak miernego sztuczydła zrobić widowisko mocne, miejscami wspaniałe.

Artysta, który niewątpliwie zapali się kiedyś do fascynującego tematu, jakim jest legenda o Azefie, artysta, który nie przejrzy, lecz przeżyje wewnętrznie wszystkie dokumenty, jakie po Azefie pozostały, przedewszystkiem wyciągnie na sam wierzch człowieka drzemiącego w każdym człowieku, podejdzie do bohatera swego dramatu czy powieści od tej samej strony, co Maksym Gorkij w swym najmocniejszym utworze, w „Niepotrzebnym Człowieku", lub Stefan Zweig w swym kapitalnym „Fouché".

Żaden z obu twórców dzisiejszego reportażu o Azefie nie jest widocznie artystą, skoro mogli oni w swej autorskiej zmowie przedstawić, jako jedyny konkretny cel wszystkich perypetyj bohatera sztuki — uzbierane kilkadziesiąt czy kilkaset tysięcy rubli czystego zysku. Jeśli przyjmiemy, jako miarę wartości człowieka, nie jakość, lecz rozmach jego życia i czynów, to Azef był bezwątpienia postacią niezwykłą. Cała masa rosyjskich urzędników porobiła zawrotne fortuny na intratnem zajęciu ochrony życia rodziny carskiej i dworskiej kamaryli, jednakże tylko Azef umiał na przestrzeni lat 1893 — 1908 rozegrać sam ze sobą straszliwą partję szachów, która pozbawiła życia zarówno ministrów, gubernatorów, generałów i książąt, jak i wielu męczenników rosyjskiej rewolucji. Azef brał od ochrany pieniądze i wydawał towarzyszów partyjnych, jednakże każda sztuka z jego terorystycznej zagrody, każdy czerwony pionek okupiony był życiem pionków carskiego reżimu. Toć coś przez kwadrans wymieniają obrońcy Azefa w sztuce Tołstoja i Szczegolewa tych wszystkich dostojników, nad którymi odprawił prowokator swój straszliwy samosąd rewolucjonisty. Akcja, jaką kierował Azef tem się zasadniczo różniła od każdej innej akcji rewolucyjnej, że zamiast przypadkowych męczenników i przypadkowych niepowodzeń, umiała przewidzieć te nieuchronne klęski, umiała je wyzyskać, a nawet tworzyć samodzielnie.

Postać Azefa może być wymownym symbolem elastyczności, t. zw. prawdy historycznej, dowodów, pewników i t. p. Mam wrażenie, że dla zdolnego adwokata nie przedstawiłoby wielkich trudności logiczne udowodnienie, że grając z caratem w szachy, był Azef całkowicie po stronie rewolucji. Nikt inny, tylko właśnie Azef nauczył Organizację Bojową zdobywać laury i śnić o jutrzejszej potędze.

Przypuśćmy jednak, a nawet zgódźmy się z prawdą historyczną, która dowodzi, że Azef nie był po stronie rewolucji, lecz że działał jak cyniczny nikczemnik, jak najpodlejszy gatunek człowieka, czyli prowokator, od jakich roi się w każdem państwie o despotycznej formie rządów. Nawet jeśli tylko dla „oszczędności" prowadził Azef swą grę, to jednak prowadził ją z zacięciem, z namiętnością, z pasją. Jego żywiołowy entuzjazm do organizowania zamachów i do wydawania sprawców tych zamachów w ręce carskiej sprawiedliwości, musiał być sugestywny, skoro obie ze stron walczących widziały w nim wodza. By rolę swoją grać z powodzeniem, musiał ją Azef *przeżywać* i to przeżywać podwójnie. Największym zarzutem, jaki trzeba postawić sztuce Tołstoja i Szczegolewa, jest fakt, że Azef nie przeżywa swych zbrodni i że zarówno śród rewolucjonistów, jak i wobec ochrany jest ten sam, ciągle ten sam niewyraźny typ, który precyzyjnie robi straszne rzeczy niewiadomo dlaczego, — niema musu tej straszliwej gry w szachy, niema roskoszy gracza, a zatem niema człowieka, który się ongiś Azefem nazywał.

Aleksander Zelwerowicz zrobił stokroć więcej od autorów scenarjusza. Dał typ niepokojący, postać, która wprawdzie mówi nie swojemi słowami, ale zdaje się kryć poza pobladłą maską twarzy inną treść, właśnie treść prawdziwą. Azef wypowiada się w interpretacji Zelwerowicza błyskiem oczu, gestem, rykiem rozwścieczonego zwierza, — czem tylko może i jak tylko może. Biedny Azef — niemowa zdaje się pokazywać w tej sztuce na migi, że był człowiekiem o niezwykłych zdolnościach twórczych fantazji i o genjalnym „węchu" gracza, że przerastał o kilka głów oba środowiska terorystów i ochrany, śród których zły los kazał mu zabłysnąć upiornem światłem prowokatora.

Obok Zelwerowicza na szczególny poklask zasłużyli pp. Horecka, Woskowski, Chmurkowski, Fritsche, Karczewski i in.

Jerzy Kornacki

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE

Projekt połączenia różnych gałęzi ubezpieczeń społecznych w jedną całość, czyli tak zwany „projekt scaleniowy", w ciągu ostatnich lat sześciu trzykrotnie wnoszony do ciał ustawodawczych, wycofywany, modyfikowany i znów wnoszony, został wreszcie przez sejm uchwalony. W ogniu długotrwałych i namiętnych dyskusyj obrońców i przeciwników projektu, ubezpieczenia społeczne stały się zagadnieniem wyłącznie polityki bieżącej. Głęboki, w dalszą przyszłość skierowany nurt polityki socjalnej, który znajduje swój naturalny wyraz w instytucjach społecznych, przesłonięty został pianką polityki aktualnej.

W takim momencie, pod względem konjunktury politycznej niekorzystnym dla rzeczowego traktowania zagadnienia ubezpieczeń społecznych, a pod względem konjunktury gospodarczej fatalnym dla wszelkich wydawnictw naukowych, pojawiła się oryginalna praca polska — teorja ubezpieczeń społecznych d-ra Ignacego Gliksmana*). Książka ta nie jest podręcznikiem, jakby to można było wnosić z krótkiego tytułu, pozbawionego wszelkich dodatków wyjaśniających. Jest to filozoficzne ujęcie zagadnienia ubezpieczeń społecznych — pierwsza tego rodzaju próba w literaturze ubezpieczeniowej, nietylko polskiej, ale nawet europejskiej, już z tego choćby względu zasługująca na bliższe poznanie.

W ujęciu autora ubezpieczenia społeczne są instrumentem klasowej polityki społecznej, której granice stosowalności zacieśnione są ze względu na swoiste cechy ubezpieczenia. Instrument ten nie jest jednakże narzędziem, wytworzonem dowolnie przez politykę. Tylko jego zakres stosowania, szerszy lub węższy, zależy od kierunku polityki socjalnej, ale charakter, to co stanowi jego istotę, tkwi korzeniami głębiej. Jest to pewna forma uspołecznienia, właściwa ludności pracującej w epoce obecnej, pewna postać związków, odpowiadająca układowi współczesnego życia, analogiczna do innych form uspołecznienia i innych postaci związków, które ludzkość wytworzyła sobie w biegu dziejów, i które bądź trwają dotychczas, jak małżeństwo, państwo, bądź już zaginęły, jak ród, horda pierwotna i inne.

Związki ludności pracującej, które przybrały postać ubezpieczeń społecznych, powołane są do wykonania w życiu pewnych zadań. Zadania te tem lepiej mogą być wykonywane, im głębiej związki tkwią korzeniami w życiu, im bardziej strukturą swoją dostosowane są do struktury socjalnej ludności pracującej.

Z tego stanowiska rozważane są w książce d-ra Gliksmana wszystkie zagadnienia ubezpieczeń społecznych: stosunek władzy państwowej do autonomji zakładów ubezpieczeń, organizacja tych zakładów, analiza ubezpieczeń społecznych i wzajemny stosunek wykrytych drogą tej analizy elementów: zasady ubezpieczeniowej i zasady opieki społecznej, czynnika ekonomicznego i czynnika etycznego; podział ludności pracującej na kategorje, ze względu na cechy istotne dla ubezpieczenia, przyczem podział ten po raz pierwszy w literaturze ubezpieczeniowej przeprowadzony został w sposób systematyczny: medycyna społeczna, patologja ubezpieczeń, ich strona gospodarcza i wreszcie drogi rozwojowe.

Od chwili powstania ubezpieczeń społecznych upłynęło pół wieku. Pierwsze ubezpieczenia (chorobowe), powstały w Niemczech w r. 1883. Od tej pory ubezpieczenia społeczne stopniowo rozszerzały się na coraz większą ilość dziedzin i coraz większe masy ludności. Nawet klasyczne kraje liberalizmu ekonomicznego, jak Anglja i Francja, wprowadziły przymus ubezpieczenia ludności pracującej. Od lat trzech jednak ubezpieczenia społeczne zatrzymały się w rozwoju i rozpoczęły nawet ruch wsteczny. W tem zatamowaniu rozwoju ubezpieczeń dr. Gliksman widzi tylko objaw przejściowy, związany z kryzysem ekonomicznym i supremację polityczną sfer społecznych o ideologji wrogiej ubezpieczeniom. Jego zdaniem, po przywróceniu normalnych stosunków, należy oczekiwać nietylko powrotu w tej dziedzinie stanu dawnego, ale nawet utworzenia nowych gałęzi ubezpieczeń, których potrzeba dojrzewa coraz bardziej. Są to ubezpieczenia mieszkaniowe i rodzicielskie.

Szczególnie ciekawa jest koncepcja ubezpieczeń rodzicielskich. Ciężar utrzymania i wychowania dzieci staje się dziś tak wielki i stanowi sprawę tak społecznie doniosłą, że nie może być pozostawiony wyłącznie grze sił natury i sił ekonomicznych, z których drugie w dodatku zaczynają jawnie uzyskiwać przewagę. Ubezpieczenia społeczne, które rozkładają bardziej równomiernie w czasie, t.j. na cały okres pracy człowieka, i w przestrzeni, t. j. na całą ludność pracującą, ciężar utrzymania dzieci, stanowić mogą skuteczne narzędzie polityki populacyjnej, dążącej do zwiększenia naturalnego przyrostu ludności, i do jakościowego poprawienia stanu zdrowotnego, kulturalnego i moralnego nowo przybywających pokoleń.

Jakkolwiek wszelkie horoskopy przyszłości, szczególnie w czasach, tak obfitujących w niespodzianki, jak epoka obecna, są rzeczą zawodną, nie można się jednak obronić od sugestywnego wpływu argumentów autora. Przyszłość pokaże, w jakim stopniu sugestje te są słuszne. W każdym razie książka przynosi szereg myśli oryginalnych i głębokich, które stanowią cenną zdobycz tak ubogiej u nas literatury ubezpieczeń społecznych.

Dobrze się stało, że omawiana książka ukazała się właśnie w obecnych przełomowych czasach, gdy namiętności polityczne i kryzys gospodarczy na całym zresztą świecie, nie wpływają na bezstronne ustosunkowanie się do zagadnień społecznych. Dr. Gliksman, jako pierwszorzędny znawca ubezpieczeń społecznych, ma nad innymi fachowcami z tej dziedziny wielką przewagę gruntownego filozoficznego i socjologicznego wykształcenia. To właśnie nadaje rozważaniom jego cechę objektywizmu. Zagadnienie omawia nie w związku z chwilowemi fluktuacjami życia zbiorowego, lecz wiąże je z tym głębokim nurtem społecznym, który płynie niezależnie od zmian, wywołanych przejściowemi zdarzeniami.

Henryk Rygier

*) Dr. Ignacy Gliksman. Ubezpieczenia społeczne. Wydanie F. Hoesicka.

W TRZECHSETNĄ ROCZNICĘ PROCESU GALILEUSZA

II.

W toku procesu objawił się charakter Galileusza w całej swej barokowej postaci. Zawsze optymistycznie ustosunkowany wobec biegu zdarzeń, dumny, śmiały — jednak tylko aż do pewnych granic — smagał swych nieprzyjaciół batem ironji, w chwili jednak decydującej, kiedy najwyższa instancja wbrew oczekiwaniom wypowiedziała się przeciwko niemu, kiedy zamajaczyło przed nim widmo tragedji Bruna, Galileusz się ukorzył, cofnął się na całej linji i złożył oświadczenie, przeciwne jego przekonaniom. Poniósłszy klęskę w sprawie zasadniczej, pragnął jednak zachować pozory i wracając do Florencji, poprosił kardynała Bellarmin o wystawienie piśmiennego zaświadczenia, że nie nałożono na niego żadnych aktów pokory, a we Florencji wyraził się z uznaniem o dekrecie Sant'Uffizio, chcąc widocznie w ten sposób wywołać wrażenie, jakoby dekret ten wcale nie godził w jego zapatrywania.

Kiedy w roku 1618 zjawiły się na firmamencie trzy komety, Galileusz wdał się w ostrą polemikę z jezuitą Orazio Grassim. Galileusz uważał komety za ciała niebieskie, błądzące po przestrzeni wszechświata poza orbitą księżyca. Grassi natomiast był rzecznikiem dawnych teoryj, według których komety powstają w atsmoferze ziemi. W utrzymanej w bardzo ostrym tonie replice p. t. „Il Saggatore" Galileusz wykazał błędy w twierdzeniach jezuity. Praca ta miała być właśnie oddana do druku, kiedy w sierpniu 1623 Galileusz dowiedział się o wyborze nowego papieża. W stolicy apostolskiej zasiadł na tronie jako Urban VIII długoletni przyjaciel uczonego, kardynał Matteo Barberini.

Radość zapanowała w domu Galileusza. Starzejący się uczony nabrał ponownie werwy i śmiałości w wypowiadaniu swoich twierdzeń. Chwilowo rzeczywiście sprawdziły się najśmielsze przewidywania uczonego. Papieżowi podobał się „Il Saggiatore" wyjątkowo, czego dowodem jest fakt, że pozwolił tę książkę sobie poświęcić. A kiedy w kwietniu następnego roku Galileusz osobiście udał się do Rzymu, papież przyjął go nadzwyczaj łaskawie, udzielił mu sześciu audjencyj i obdarzył cennemi pamiątkami.

Dowody papieskiej łaskawości zachęciły Galileusza do rozpoczęcia pracy nad wielkiem dziełem filozoficznem, w którem otwarcie powrócił do nauki Kopernika. Wiosną roku 1630 dzieło było gotowe do druku. Galileusz postanowił osobiście postarać się o „imprimatur" i w maju tego roku zjawił się ponownie w Rzymie. Papież przyjął go znów bardzo łaskawie, podwyższył mu nawet pensję kościelną, jaką mu wypłacano. Rękopisu dzieła Galileusza papież jednak wtedy nie przeczytał, uczynił to ojciec Mikołaj Riccardi, maestro del Sacro Palazzo. Riccardo wskazał Galileuszowi kilka miejsc, które należało zmienić, dzieło zareferował papieżowi, który jeszcze ze swej strony polecił uczonemu przedstawić naukę Kopernika jako hipotezę, a nie jako absolutną prawdę. Ponadto domagał się Urban VIII, aby Galileusz nie wplątywał w swoje wywody tekstów biblijnych.

Do wskazówek Riccardi'ego Galileusz się zastosował, lecz życzenie papieża uwzględnił tylko połowicznie, mianowicie miast trzymać się ściśle matematycznej metody dowodzenia, pozwolił sobie na wycieczki w dziedzinę teologji. Sądzić jednak należy, że nawet ta prawdopodobnie całkiem mimowolna niesubordynacja wobec polecenia papieża, byłaby mu uszła bezkarnie, gdyby do owego błędu nie dołączyły się inne fatalne okoliczności.

Właśnie w tym czasie aktualna była skandaliczna afera kilku astrologów, którzy wyprorokowali bliską śmierć Urbana VIII. W sprawę tę zawikłani byli niektórzy kardynałowie, którzy już marzyli o zdobyciu papieskiej tiary, a znaleźli się nawet tacy, co wykonywali czary, celem przyspieszenia śmierci papieża. Proroctwa astrologów długo krążyły w Rzymie z ust do ust, zanim dotarły do świątobliwych uszu Urbana VIII. Papież energicznie zabrał się do likwidacji afery i kazał winnym wytoczyć proces, a ponieważ w owych czasach astrologja bardzo ściśle się łączyła z astronomją, można uważać za rzecz bardzo prawdopodobną, że dzięki tej aferze Urban VIII odczuwał również do nic nie winnego Galileusza — astronoma — pewną niechęć, zwłaszcza, że istotnie nieprzyjaciele uczonego starali się usilnie zawikłać go w tę ciemną sprawę.

Atoli najbardziej słabą stronę nowego dzieła Galileusza czujnem okiem spostrzegli jezuici Grimberger i Grassi. Galileusz bardzo wówczas rozpowszechnionym zwyczajem ujął wykład swych teoryj w postaci dyskusji trzech uczonych. Wenecjanin Francesco Sagrado i Florentyńczyk Filippo Salviati bronią zasady kopernikańskiego systemu świata wobec argumentów, wysuniętych przez zwolennika Ptolomeusza, niejakiego Simpliciusza. Galileusz, chcąc dać naprawdę przekonywujący wykład teorji Kopernika, powinien był wyposażyć Simpliciusza w argumenty rzeczowe, uczynić zeń przeciwnika groźnego, aby tryumf naukowy, odniesiony nad nim przez Salvatiego i Sagradę, był istotny i definitywny. I rzeczywiście mógł Galileusz uczynić z Simpliciusza postać nawskroś naukową, bo przecież pamiętać należy, że zmarły w roku 1601 wielki astronom duński Tycho de Brahe był z ważkich powodów przeciwnikiem teorji Kopernika, że hipoteza o ruchach ziemi dopiero dzięki odkryciu prawa grawitacji przez Newtona, a właściwie nawet dopiero dzięki odkryciu pierwszej paralaksy gwiezdnej w zeszłem stuleciu przez astronoma Bessel'a uzyskała podłoże naprawdę naukowe i mogła się dopiero wtedy szczycić wyjątkowemi zaletami wobec systemu świata Ptolomeusza. Jednak Galileusz zadanie sobie bardzo uprościł. Z Simpliciusza uczynił postać głupkowatą i miast dialogu naukowego napisał utwór satyryczny, wymierzony przeciwko perypatetykom. Oczywiście przytoczony zarzut słuszny jest tylko przy ocenie Galileusza, jako uczonego. Galileusz, człowiek epoki baroku, był w zgodzie z duchem swych czasów, kiedy jako formę, swego wypowiedzenia przyjął raczej satyrę, a nie ścisłą argumentację naukową. Toteż jezuici Grimberger i Grassi, tego lapsusu wcale mu za złe nie wzięli, z niezwykłą perfidją atoli spostrzegli, że można ukręcić świetny bicz na starego astronoma, wmawia-

jąc porywczemu papieżowi, że pizańczyk właśnie jego, Urbana VIII, upostaciował w głupkowatej osobie Simpliciusza.

Cios rzeczywiście był świetnie wymierzony. Urban VIII zawrzał straszliwym gniewem. W sierpniu roku 1632 przeczytał dzieło Galileusza, będąc już uprzedzonym przeciw jego autorowi. Chciał natychmiast kazać postawić Galileusza przed sądem inkwizycji i jedynie na skutek interwencji wielkiego księcia toskańskiego zgodził się zamianować poprzednio osobną kongregację dla zbadania podejrzanej co do prawowierności książki. Po otrzymaniu odpowiedniego memorjału kongregacji, wyliczającego wszystkie zarzuty, jakie można było zrobić Galileuszowi z punktu widzenia ortodoksji, papież wydał rozkaz, aby uczony w ciągu miesiąca stawił się w Rzymie przed obliczem sądu.

(dok. nast.) *Dr. Feliks Burdecki*

NIEPIŚMIENNA INTELIGENCJA

Wielkie nadzieje pokładano w radjofonji, właśnie przed 10-ciu laty wschodzącej. Budowano zamki w eterze, dawano im nazwy entuzjastyczne: rozpylaczy kultury, uniwersytetów ludowych, idealnej publicystyki... Jak nad kolebką każdego wynalazku, tak i tu po obu stronach młodej radjofonji stanęły dwie wróżki: jedna pełna ideałów, wybredna, druga — wulgarna, „życiowa"... W praktyce oznaczało to dualizm: wysokiego i obniżonego poziomu. Starcie było ustawiczne. Bywały epoki radjofonji, w których można było mówić raz o przeintelektualizowaniu radja, o zabrnięciu w specjalności i odwiedzaniu indywidualistów w ich „wieży z kości słoniowej", potem następowała reakcja: obniżenie poziomu, tandeta, sieczka. Dziś dopiero zarysowuje się — zlekka, tu i owdzie — zrozumienie, że „poważny" program jeszcze z tytułu powagi, niezawsze jest wartościowy, niezawsze radjofoniczny, ani celowy, że jest niekiedy ofiarą zbyteczną. A t. zw. lekki program, nieprzemyślanie, banalnie, albo zdawkowo złożony, może być — właśnie dla swej „lekkości" — ciężki do wysłuchania.

Czyli: rubryki, etykiety „ciężka" — „lekka", ułożone nawet w rozsądnym stosunku procentowym w wykazach programowych radjostacyj — jeszcze nie rozwiązują sprawy. „Napuścić" przepisaną ilość poważnych kompozycyj i „odwalić" odpowiednią ilość programu lekkiego — to jeszcze nie gwarantuje t. zw. linji programowej.

Co to znaczy „linja programowa"? Rozmaicie linję pojmują rozgłośnie. Ale też jak rozmaitych mają odbiorców! O berlińczykach mówi się zwykle, że na koncercie czują się dobrze, tylko jeżeli się trochę nudzą! O Anglikach pisał już Wagner, że słuchają cierpliwie oratorjów, bo mają nadzieję, że za grzeczne wysłuchanie fug i recitativów, niezmysłowych arji i duetów oratoryjnych — dostaną się do nieba, gdzie już tylko panowała będzie — włoska koloratura!

Nasz polski słuchacz jest jak Faust: „żąda najpiękniejszych gwiazd od nieba i najwyższej rozkoszy od ziemi", ale chce tego — i tem gruntownie różni się od Fausta — kosztem najmniejszego wysiłku własnego. Toby jeszcze nie było tak zdrożne, gdyby choć inteligent nasz wiedział, jaka muzyka mu się podoba. Zapewne, słuchacz, który pisze listy do Radja Polskiego, zawsze, prawie wyłącznie żąda łatwej tandetki. Ale mniejszość, elita, inteligentni słuchacze, muzykalny odłam publiczności? — Nie pisze listów, milczy. Czy wnioskować stąd, że jest zadowolony. Może zrezygnowany? Może nie umie sformułować swych życzeń, może boi się nieomylnego tonu radjowej skrzynki pocztowej?

Ale dlaczegóż nie pojawił się dotychczas trybun, któryby zdobył się na niezależny ton w obronie jakichś życzeń publiczności? Czy mamy krytykę radjowej muzyki? Beznamiętną, bezprywatną, wreszcie bezosobistą w znaczeniu nienarzucania radjostacjom i radjosłuchaczom osobistego gustu piszącego? Coby mógł powiedzieć taki trybun radjostacji warszawskiej?

Powiedzieć, — nie, *mówić stale*. Ale także mówić do słuchaczy. Np.: nie żądajcie, czego stacja wam nie może dać, bo nie mamy kwitnącej, codziennie przepełnionej opery, nie mamy chórów, stojących na wysokim poziomie artystycznym, nie mamy bibljotek muzycznych, jesteśmy krajem, w którym kwitnie tak jednostronny podziw wirtuozostwa, że treściwa muzyka niema publiczności, krajem wydającym obficie talenty, które jednak duszą się w biedzie miejscowych stosunków muzycznych, — a radjo jest odbiciem stosunków muzycznych w miejscu rozgłośni. Słuchacz odpowiada na to: ale podobno radjo potrafi dawać transmisje z zagranicy, może nadawać płyty. Transmisje — w obcych językach — są dla wielu z was szkopułem, dobre transmisje np. ciekawych oper, kosztują wiele, więcej niż dają może zadowolenia naszemu przeciętnemu słuchaczowi. „Tristan" — choćby z Bayreuth i pod Furtwänglerem — „Tristan" na słuchawki jest męczący, nawet dla tego, który zna dzieło, rozumie jego treść, albo nawet — w bardzo wyjątkowym wypadku, — słuchając, siedzi z wyciągiem fortepianowym. Tych „europejskich" znawców jest u nas mało, znikoma ilość, i ta garstka jest — niepiśmienna! Nigdy prawie nie zdobędzie się na słowo uznania dla rozgłośni, która łatwo może wnioskować: taki jest gust publiczności. Ale — powie słuchacz inteligentny — czy nie wierzycie, że radjosłuchacze dadzą się „podciągnąć" do lepszej muzyki, czy nie myślicie czasem, że tangomanja może już powoli przejść, że „la donna e mobile". „Szept kwiatów", „Miljony arlekina", „Toreador i andaluzka", już nieco straciły uroku nowości? A nawet „mazur z Halki" i „Gdyby rannem słonkiem" przez zbyt częste nadawanie może są narażone na spowszednienie? Czy nie myślicie o złożeniu „listy utworów zbyt ogranych"? Jeżeli trudno wam o nowy program „żywy", to płytowy program da się szeroko zakreślić i — urzeczywistnić. Wiele jest świetnych płyt, o których istnieniu nie wiecie, płyt bynajmniej ani błahej muzyki, ani ciężkiej — bardzo radjofonicznych, bardzo godnych nadawania.

Po tym, urojonym djalogu, który możnaby snuć jeszcze długo, niech bezstronny „trybun" dorzuci ostatnie słowo: większość radjosłuchaczy odnosi się z niedowierzaniem do płyt. Płyta to coś „gorszego". Podobnie chłop uważa, że Msza odprawiona przez wikarego, nie ma tej siły mistycznej, co Msza, którą odprawia proboszcz. Nie — to stanowczo nie. Dobre płyty, wybrane sprytnie, z planem i linją, to leży w zakresie możliwości Polskiego Radja. Płyty są środkiem podciągnięcia gustów słuchaczy naszych.

Karol Stromenger

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Na parę dni przed wyborami do Reichstagu i Sejmu pruskiego, ogień podłożony przez tajemniczą rękę strawił wnętrze gmachu parlamentu Rzeszy Niemieckiej. Odżyły natychmiast w urzędowych komunikatach rządu niemieckiego słynne oskarżenia komunardów o podpalenie w 1871 r.: wówczas utopiono w oszczerstwie tem i we krwi Komunę Paryską, dziś w Niemczech ma zginąć w odmęcie represji, motywowanych tem oskarżeniem, cały ruch robotniczy niemiecki.

— Pięści nasze spadną na ich głowy ciężko i twardo — oświadczył sam Hitler, a jego ministrowie dodają, że rząd nie spocznie, póki w Niemczech będzie choć jeden marksista.

Twarda pięść spadła istotnie na karki niemieckie bezzwłocznie: już na drugi dzień nie było na terenie Rzeszy ani jednej z wolności obywatelskich, gwarantowanych przez konstytucję, w więzieniach znaleźli się nie tylko komuniści, ale i pacyfiści, jak Lehmann—Russbüldt i Ossietzky, niedawno dopiero amnestjonowany.

Pomimo zgnębienia wszelkiego wolnego słowa w Niemczech, opinji publicznej w Europie nie dało się wprowadzić w błąd.

Już nazajutrz wiedziano w Holandji, że ów rzekomy wysłannik partji komunistycznej, podpalacz van Lübbe był od 2 lat w walce z partją i że jeszcze poprzednio w Holandji w związku młodzieży socjalistycznej odgrywał rolę prowokatora, często rozbijał zgromadzenia, a od roku przeniósł się na teren Niemiec.

Trudno przewidzieć, czy sądom uda się wyjaśnić sprawę w tej monstrualnej aferze. W każdym razie wystarczy zacytować prasę angielską, burżuazyjną, aby wiedzieć, że nikt nie został wprowadzony w błąd.

„Evening Standard" pisał np.:

— „Bylibyśmy zdziwieni, gdyby świat uwierzył w deklarację Hitlera, że podpalenie Reichstagu było dziełem komunistów". Taką samą mniej więcej opinję wydały inne pisma angielskie i francuskie wrogie dla komunizmu.

Zresztą ci, którzy wyciągali kasztany z popiołu spalonego Reichstagu, nie krępowali się. Szef biura prasowego rządu Hitlera dr. Funk nazajutrz po pożarze mówił na konferencji korespondentów zagranicznych:

— Rząd obecny nie jest gabinetem przejściowym. Trzeba się pogodzić z myślą, że potrwa on dłużej. W Niemczech rozpoczęła się nowa era. Czasy parlamentarnej demokracji minęły bezpowrotnie.

Wybory niedzielne odbywały się więc pod hasłem zbyteczności systemu wyborczego, bo rząd z góry powiedział, że przed wolą wyborców nie ugnie się i władzy nie odda.

Były więc te wybory tylko ostatnią próbą sił legalnych, miernikiem, ile jest jeszcze w społeczeństwie niemieckiem siły oporu moralnego przeciwko gwałtowi.

***

Tak dzieje się w polityce wewnętrznej Niemiec. A w dziedzinie polityki międzynarodowej w całym świecie coraz słabiej drgają nuty idealizmu powojennego, coraz częściej i mocniej wychodzą na jaw i decydują czynniki siły. Ostatnie dni lutego przyniosły pod tym względem wymowne wskazania, w jakim kierunku zdąża świat. Uroczyste nadzwyczajne Zgromadzenie Ligi Narodów uchwaliło rezolucję potępiającą Japonję, a jej delegaci opuścili obrady świetnej instytucji genewskiej. Odchodząc, ogłosili długi komunikat, w którym krytykują i zbijają tezy raportu genewskiego, a m. i. rzucają taki frazes:

— „Życzymy mocno, ażeby Liga Narodów była doprowadzona wkrótce do zmiany stanowiska, do zaniechania opierania się na doktrynie akademickiej, niedającej pogodzić się z uznaniem i poszanowaniem sił, które czynią możliwem utrzymanie pokoju w różnych stronach świata".

A więc nie to, że Liga Narodów przez rok zgórą usiłowała odstępować od doktryny, od zasady obrony słabszego przed silnym, że zamykała oczy na inwazję japońską, ale to, że wreszcie po roku o tej „doktrynie" sobie przypomniała, stanowi w oczach Japończyków główną jej winę.

Bo trzeba „pogodzić się z uznaniem i poszanowaniem siły" — rozumują Japończycy, przyzwyczajeni już do tego, że Liga przez cały rok na takiem właśnie stanowisku stała. Skoro przez 12 miesięcy tak było, dlaczegoby teraz miało być inaczej?

Świat przestaje się wstydzić użycia przemocy, siły, gwałtu, powiedzmy wyraźnie, wojny. Jeszcze po różnych komisjach i podkomisjach opracowuje się przeróżne formuły o „uroczystem wyrzeczeniu się użycia siły w sporach", jeszcze rozmawia się o jakiejś konwencji „małej" luż „dużej" w sprawie zakazu handlu bronią, a jednocześnie płyną wieści, że dawno nie było takiego ruchu w fabrykach broni i amunicji, jak obecnie.

Vickers i Armstrong — dwie wielkie firmy wyrabiania narzędzi rzezi ludzkiej pracują w Anglji na trzy zmiany dzień i noc. Jest ruch w interesie zbrojeniowym w czasie konferencji rozbrojeniowej.

Ale rząd W. Brytanji, jak Piłat umywa ręce. Owszem, nawet proklamuje zakaz licencji na wywóz broni na Daleki Wschód od 1 marca, a jednocześnie projektuje wraz z Francją takiż zakaz wywozu broni do walczących w Ameryce Południowej republik.

Obłuda tej „szlachetnej" decyzji jest zresztą szybko zdemaskowana przez labourzystów, który wskazują, że zakaz nie dotyczy dawnych kontraktów i przez Amerykanina Borah'a, który twierdzi, że zakaz nie obchodzi wcale Japonji, mającej dosyć własnej broni, a tylko Chińczyków, broni nie mających.

Dla ośmieszenia tej całej pozornie chwalebnej inicjatywy Rada Ligi Narodów nadaje inicjatywie francusko-angielskiej bieg w drodze zwykłej procedury, rozsyłając do państw ankietę, czy zechcą przyłączyć się do zakazu wywozu broni dla Paragwaju i Boliwji. Po dłuższym przeciągu czasu gotowe są niektóre państwa odpowiedzieć, że owszem. Tembardziej, że broń tę można będzie wysłać pod adresem jakiego Hondurasu, albo Guatemali dla „łaskawego" dostarczenia dalej. Po drodze jeszcze ktoś zarobi.

***

Zdemaskowanie austrjackiego dyrektora kolei Seefehlnera, który usiłował bocznym torem wyprawić do Węgier broń włoską, reperowaną w Hirtenbergu, rzuca światło na tajemnice gorączkowych przygotowań wojennych na świecie.

Człowiek uczciwy i energiczny, jak prezes kolejarzy austrjackich Koenig, potrafił jednak więcej dokazać dla udaremnienia jednej z takich machinacji, niż dyplomacja paru wielkich i mniejszych mocarstw, która zajmowała się tem bez przekonania i głębokiego poczucia słuszności sprawy.

***

Wśród wielu zagadnień, wywołujących podziemne wstrząsy w Europie, zapowiadających burzę, wysunęła się ponownie na jedno z miejsc pierwszych — nieszczęsna sprawa Macedonji.

Przypomniał o niej odbyty w połowie lutego kongres macedoński w Górnej Dżumaji na terytorjum Bułgarji. Kongresy takie odbywają się co rok. Ale po raz pierwszy na zjeździe takim wysunięto zupełnie wyraźnie postulat niepodległości Macedonji, wymierzony tym razem nie tylko przeciw Jugosławji i Grecji, ale i przeciw Bułgarji.

Deklaracja komitetu centralnego Wewnętrznej Organizacji Rewolucyjnej Ma-

cedońskiej, odczytana na zjeździe przez Jordana Czaktrowa wysuwa postulat wyraźny zjednoczenia niepodległości Macedonji.

— „Od 15 lat — czytamy w deklaracji — cały świat sądzi, że Macedonję złożono w głębokiej mogile i że więcej ta kwestja już nie wypłynie.

Dziś jednak wszyscy politycy przewidujący, nie mówiąc o humanitarystach — są przekonani, że prawa Macedonji muszą być przywrócone pod groźbą cierpień dla całej Europy".

— Podczas gdy w masie Bułgarów wolnych — czytamy tam — istnieje żywa miłość braterska dla Macedonji i jej sprawy, ze strony działaczów społecznych i Bułgarji urzędowej, czynione są przeszkody dla powodzenia sprawy macedońskiej. Inicjatywy o tendencji destrukcyjnej znajdują poparcie i zachętę w Sofji. Polityka Bułgarji nie tylko staje się egoistyczną, ale mało przezorną i daje pole dla propagandy serbskiej w Sofji... W imieniu ludności macedońskiej ujarzmionej, wzywamy naszych emigrantów i wszystkich Bułgarów-patrjotów, aby strzegli się. Serbomanja poniosła klęskę w Macedonji, a chce zapuścić korzenie w Sofji. Będziemy z nią walczyć i zwyciężymy ją".

Zacytowany tu dłuższy ustęp odezwy wskazuje wyraźnie, że ruch macedoński wchodzi w nową fazę i z okresu dążenia do oparcia się o Bułgarję przechodzi w fazę ruchu czysto niepodległościowego, wymierzonego nieraz i przeciw Bułgarji.

Zbliżają się więc zagadnienia ze wszystkich stron.

St. Gr.

HISTORJA O LOTERJI

W szkicu historycznym „Loterje publiczne w Polsce" Ignacy Baliński pisze: „Loterja klasowa, we właściwe karby ujęta, jest mniej kosztowna, mniej ryzykowna i roznamiętniająca grających, niż inne formy gry losowej i hazardu. Jest ona dla całego szeregu ludzi podatkiem, opłacanym na rzecz tak zwanego „szczęścia", realnem umożliwieniem — kosztem niewielkich miesięcznych rat — interwencji szczęśliwego przypadku w ich życiu, przypadku, który, gdy nastąpi, doda im, jak mówi Orzeszkowa, trochę masła do suchego chleba powszedniego, pozwoli na jakieś uprzyjemnienie życia poza normą budżetu zwykłego, a może... może nawet pokaźniejszą kwotę większej wygranej wsunie do pugilaresu.

„Praca — pracą, — zarobek — zarobkiem, ale i „szczęście" coś znaczy — szepce tradycja wieków, trzeba więc temu szczęściu otworzyć jakąś furtkę, bo bez biletu na loterję, jakże ono znajdzie sobie drogę?

„I niewątpliwie dla większości marzenie o wygranej w chwilach wolnych od pracy więcej sprawia radości pokrzepiającej, niż sama wygrana. Bo taka już jest natura ludzka, że jej potrzeba spodziewania się szczęścia bardziej, niż samego szczęścia.

„Ekonomiści i moraliści powinni liczyć się ze wszystkiemi cechami natury ludzkiej i nawet jej słabości wyzyskiwać na jej dobro. Może zatem i władza państwowa czynić zadość wyżej wymienionej właściwości, ciągnąc słusznie z tego źródła pewien umiarkowany dochód na cele społeczne pod warunkiem ścisłego regulowania i normowania w sposób najracjonalniejszy zasad loterji i handlu losami."

Do tych głębokich uwag historyka dodajmy uwagę praktyczną, że V-ta klasa Polskiej Państwowej Loterji Klasowej, której ciągnienie rozpoczęło się 7 marca, daje ogromne szanse wygrania. Największą jej atrakcją jest główna wygrana, wynosząca miljon złotych. Według planu gry, ktoś ten miljon wygrać musi, a pozatem jest wiele innych większych i mniejszych wygranych w ogromnej ilości 45.166 sztuk.

ZNIŻKI CEN NA WYROBY TYTONIOWE

Obniżenie cen na wyroby Monopolu Tytoniowego od dłuższego już czasu było postulatem wielkiej gromady palaczy. Wielu z nich czuło na własnej skórze, że zmalały dochód indywidualny nie pozwala na zadowolenie naszych potrzeb tytoniowych w ustalonym podczas lepszych czasów zakresie i poziomie, że konieczności życiowe spychają nas od lepszych gatunków papierosów do gorszych, od zadawalającej ilości papierosów, do niezadawalającej, określonej zresztą pod przymusem budżetu domowego. Musiało to wpłynąć na spadek spożycia lepszych gatunków papierosów i na kurczenie się produkcji fabryk tytoniowych. Wiemy już z licznych doświadczeń, na czem polega to kurczenie się produkcji: utrata pracy dla robotnika, zmalałe obroty gospodarcze dla handlu i przemysłu, kurczenie się dochodów skarbowych.

Toteż zniżka cen papierosów odbiła się żywem i przyjaznem echem w szerokich kołach palaczy. Bez powiększania nakładu pieniędzy można już powrócić do swego ulubionego gatunku papierosów.

Jest jednak szczuplejsza grupa palaczy, która poczuła się poszkodowaną. Są to nabywcy tytoniu paczkowego, którzy sami „sposobem domowym" wyrabiają papierosy. Oni to pytają, dlaczego staniały papierosy, a nie staniał tytoń z wyjątkiem najniższych gatunków tytoniu, t. zw. machorki.

Na pytanie to postaramy się odpowiedzieć: Przedewszystkiem musimy sobie uświadomić, że nasz monopol tytoniowy w 65% czerpie surowiec z zagranicy, a tylko w 35% z plantacyj krajowych.

Gdyby więc Monopol Państwowy obniżył cenę na tytoń paczkowy zamiast na papierosy, to wówczas wzrosłaby konsumcja samego tytoniu, a spadłoby spożycie papierosów. Czyli innemi słowy nasze fabryki papierosów zmniejszałyby swoją produkcję z dnia na dzień, musiałyby redukować swoją załogę. A więc istniejąca i prosperująca gałęź przemysłu osłabłaby. Dalej, wzrost spożycia tytoniów paczkowych zredukowałby rolę naszego monopolu tytoniowego do czynności pośrednika między cudzoziemskim dostawcą tytoniu, a rynkiem krajowym. I jeszcze jedno. Na przestrzeni ostatnich lat nasz Monopol Tytoniowy poważnie się emancypuje z pod wpływów zagranicznych, zarówno w dziedzinie polityki zakupów, jak i w dziedzinie własnej krajowej twórczości. Kupujemy więc u tych, którzy u nas kupują, a następnie staramy się ograniczać import tytoniu tam, gdzie na to istniejące możliwości krajowe pozwalają. Stąd to właśnie powstały u nas w kraju plantacje niektórych gatunków tytoniu, będące poważnym źródłem dochodu dla naszych rolników.

Jak widzimy więc, realizacja zniżki cen na wyroby tytoniowe była przeprowadzona celowo z najszerszem uwzględnieniem interesu palacza, istniejącego przemysłu papierosowego i krajowych plantatorów.

S. K.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Al. St. K. w Warszawie. Dziękujemy. Wzięliśmy pod uwagę.

Panu Leonowi W. w Sosnowcu. Będziemy wysyłali.

Pani Zofji H. w Poznaniu. Bez rękopisu nie możemy decydować. Jeżeli będzie dobrze napisane, zamieścimy.

Panu dr. W. L. we Lwowie. Nadaje się raczej do pisma lekarskiego.

Pani A. L. w Łodzi. Za słodkie, za rzewne, za sentymentalne. Dlatego zamiast wzruszenia budzi ironiczny uśmiech. Czy tak ludzie mówią? Pani bohaterka pisze w pamiętniku: „I zawołał do mnie strasznym głosem:" „Zdradziłaś mnie, nikczemna kobieto, opuść progi mego domu". I zaraz potem: „A na świecie była wiosna, ptaki już śpiewały..." Niechże łaskawa Pani da spokój. Bardzo stary film!

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan Parandowski: Dysk olimpijski. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1933.

Wacław Berent. Pisma. Tom I. Fachowiec. W Puszczy. Nakł. Gebethnera i i Wolffa. Warszawa 1933.

Dr. Ad. Ferrière. Samorząd uczniowski. Sztuka kształtowania obywateli dla państwa i ludzkości. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1933.

Teatr Wielki w Warszawie 1833—1933. Wydawnictwo zbiorowe pod redakcją Eugenjusza Świerczewskiego. Nakład — Kierownictwo Opery warszawskiej. Warszawa 1933.

Bolesław Poletur: Polska od serca do serca. Poezje. Słowem wstępnem poprzedził Włodzimierz Słobodnik. Wydawnictwo Św. Michała Archanioła. Miejsce Piastowe.

Ewa Szelburg - Zarembina: Sygnały. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933 r.

F. Lazarusówna: Urszula Kochanowska. Bibljoteka Książek Błękitnych, Warszawa 1933 r.

Artur Prędski: Bełtowski zredukowany... Powieść. Warszawa. Polski Instytut Wydawniczy „Sfinks".

Od Administracji

Donoszą nam, że niektórzy sprzedawcy »Epoki« bezprawnie wypożyczają nasze pismo. Wypożyczanie to, tak za opłatą, jak i bezpłatnie, stanowi nadużycie przewidziane przez kodeks karny.

Wypożyczanie pisma spowoduje skargę karną zarówno przeciw niesumiennym sprzedawcom, jak i przeciw osobom, korzystającym z tego nadużycia.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-164 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.